

Na podstawie tekstu źródłowego autorstwa **ks. Franciszka Nicalka**, * datowanego na 1 marca 1976 roku opracowali: Mieczysław Brzyski i Marian Pędłowski

POTOP SZWEDZKI

Wypadki znane chyba każdemu Polakowi z „Potopu”. Rzecz ogólnie znana. A jednak w ich opisie panuje taka rozbieżność opinii wśród historyków, że śmiało ma tu swoje potwierdzenie powiedzonko: „Quot capita tot sensus” („Ile głów, tyle opinii”). Tyle w dodatku nagromadziło się na ten temat lokalnych podań, wersji, legend, klechd i baśni, że dziś nawet wytrawnemu znawcy tych dziejów, trudno z całą pewnością oddzielić ziarno od plew, prawdę historyczną od zmyśleń i fantazji. Dlatego też zaraz na początku przytaczam przebieg wypadków nie od siebie, ale opieram się na najwyższym dzisiaj autorytecie i znawcy tego zagadnienia, na prof. Adamie Kerstenie.



Stefan Czarniecki



Jerzy Lubomirski

"Oddziały Czarnieckiego i Lubomirskiego, także ruszyły spod Przemyśla. Marszałek koronny był już 22 marca 1656 roku w Kańczudze pod Przeworskiem i tego samego dnia w okolicach Łańcuta, może być w Głuchowie, nastąpiło ponowne spotkanie obu

dowódców. Spotkanie to zostało wywołane zdezaktualizowaniem się poprzednich planów i potrzebą ustalenia nowych. Stamtąd zapewne na wieść, że Szwedzi ruszyli spod Przeworska, Czarniecki wysłał 23 marca kilka chorągwi na podjazd. Nieprzyjaciel maszerował bardzo powoli przez podmokły i bagnisty teren, oddziały polskie bez trudu zaatakowały regimenty straży tylnej i część rozbiły. Szwedom udało się w ciągu dnia przejść zaledwie kilkadziesiąt kilometrów i stanąć w okolicach Tryńczy (do Tryńczy Szwedzi nie doszli, musieliby się wówczas przeprawić przez



Karol Gustaw

Lubaczówkę, obozowali o kilka kilometrów od Tryńczy). Marsz w kierunku Tryńczy upewnił Czarnieckiego i Lubomirskiego, że Karol Gustaw idzie do Sandomierza.

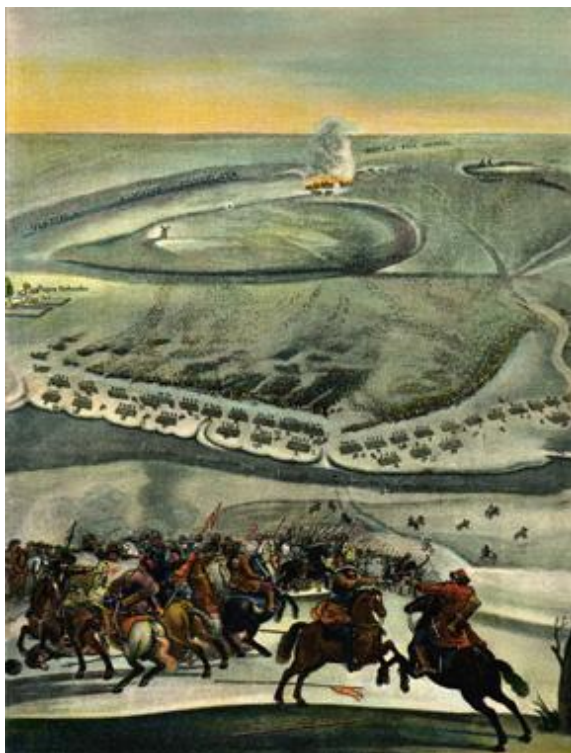
Wówczas to prawdopodobnie nastąpił podział wojska. Marszałek maszerował na Rakszawę, choć jak wynika z późniejszego nieco listu Czarnieckiego do króla, obie grupy posuwały się w niezbyt dużej odległości. Kasztelan kijowski Stefan Czarniecki szedł bezpośrednio za nieprzyjacielem. Już w czasie

marszu w okolicę Tryńczy, Polacy bez przerwy szarpali od strony Wisłoka, lewą flankę i tyły Szwedów. W nocy z 23 na 24 marca obozowali tak blisko, że z obozu szwedzkiego widać było ognie ich biwaku.

Karol Gustaw chciał wtedy doprowadzić do decydującego starcia, zaczął nawet ostrzeliwać oddziały Czarnieckiego z dwóch lżejszych dział, zupełnie jednak bezskutecznie. Kasztelan nie dał się sprowokować do walki. Szwedom zależało bardzo na wyjaśnieniu sytuacji, ponieważ 24 marca miała nastąpić niezwykle trudna przeprawa przez szeroko rozlany Wisłok. Karol Gustaw także i tego dnia przygotowywał się do starcia. W czasie, gdy Eryk Oxenstierna i Gabrielson z artylerią, częścią jazdy i dragonami budowali most, król z całym wojskiem czekał do południa na nadejście oddziałów polskich.

Czarniecki zorientowany w zamiarach przeciwnika wcale się nie pojawił. Po

przejściu rzeki oddziały szwedzkie rozłożyły się tuż koło przeprawy. Na tym postoju spotkano regiment płk. Dawida Sinclaira (400 koni), który spod Gołębia (*Gołąb – wieś położona w województwie lubelskim, w powiecie puławskim, w gminie Puławy, położona nad Wisłą między Puławami, a Dęblinem*) odprowadzał królewicza szwedzkiego, brata Karola Gustawa - Adolfa Jana (złamał nogę) do Warszawy i teraz powrócił do króla. Następnego dnia kontynuowano marsz. Na noc Karol Gustaw ulokował się w klasztorze leżajskim. Wojsko szwedzkie



Bitwa pod Gołębiem

rozłożyło się w mieście i w okolicznych wsiach, a oddziały polskie, które jeszcze zostawały na służbie szwedzkiej stacjonowały w Giedlarowej. W Leżajsku zatrzymano się cały dzień. Uplłynął on na próbach zorganizowania pożywienia, co nie było wtedy łatwe.

Szwedzi w okolicach Rudnika

Dopiero 27 marca ruszono do Rudnika. Przez cały ten czas oddziały Czarnieckiego znajdowały się w pobliżu lewej flanki szwedzkiej i bez przerwy szarpały wroga. Pod Rudnikiem miał nastąpić bezpośredni atak oddziału Teodora Szandorowskiego (herbu Sas – pułkownik wojsk królewskich, rotmistrz pancerny Dymitra Wiśniowieckiego, skarbnik braclawski) na króla szwedzkiego. Pisali o tym Ludwik Kubala („Wojna szwedzka” str. 286) i Karol Marcinkowski („Stefan Czarniecki” str. 132, opierając się na Wespazjanie Kochowskim („Climacter II” str. 115) i niezupełnie wiary godnym liście rzekomo Lubomirskiego z 7-go kwietnia, drukowanego w „Theatrum Europaeum” (str. 936). Nie jest to na pewno list Lubomirskiego. Nie ma powodu do całkowitego negowania istnienia tej potyczki, choć jej opis zawiera wiele cech zbieżnych

z wydarzeniami pod Niskiem. Podważyć wypadnie tylko albo datę, albo miejsce starcia i jeżeli było to pod Rudnikiem to nie 24, ale 27 marca, jeżeli 24, to nie pod Rudnikiem, ale pod Tryńczą.

Szwedzi w Nisku

Z Rudnika 28 marca Szwedzi ruszyli do Niska, gdzie Karol Gustaw zdecydował się dać wojskom nieco wytchnienia i umożliwić zaopatrzenie armii w żywność. Brak taborów czynił tę ostatnią sprawę niezmiernie skomplikowaną. Wkrótce po rozlokowaniu żołnierze w małych oddziałach rozbiegli się w poszukiwaniu żywności. Wydaje się, że to właśnie ostatecznie skłoniło Czarnieckiego do próby zaatakowania obozu szwedzkiego, co w jego dotychczasowych działaniach było nowością. Wymęczeni, schorowani i zgłodniaли i w dodatku rozproszeni żołnierze, mogli się stać łatwo łupem kasztelana, który w takim wypadku nie potrzebowałby się z nikim dzielić laurami zwycięstwa nad armią Karola Gustawa. Atak nastąpił późnym wieczorem (opis na podstawie RA. KHS 11 nr 4 Dahlberg Relation). Zbieżny z tym opis Samuela Pufendorfa str. 141, Carlom Om Karl I Gustafs polska krig str. 34, także "Nya Aviser nr.1.15 - 26 V 1656 str. 2. Wiadomości z Krakowa 14/24 IV. por. Marcinkowski Stefan Czarnecki str. 133. Kubala: „Wojna szwedzka” str. 286 i nn.). Kiedy duża część wojska była poza obozem Czarniecki z kilkoma tysiącami żołnierzy, częściowo pospolitaków, wypadł z lasu, zniósł drobny (50 koni) oddział poszukujący żywności oraz straż szwedzką i goniąc je wpadł do obozu. Zaalarmowani Szwedzi - ponoć sam król osobiście to uczynił dwoma wystrzałami z dział i biciem w bębny zdążyli uszykować piechotę, którą Karol Gustaw miał poprowadzić przeciwko jeździe. Siła ataku polskiego była tak wielka, że groziła zagładą całemu obozowi szwedzkiemu. Wówczas jednak nadeszła jazda regimentu Gustawa Kurcika i Fabiana Berendsa i prowadzona znowu przez króla



Robert Douglas

zaczęła zachodzić Polakom tyły. Kiedy do walki wszedł jeszcze Robert Douglas z kilkoma dalszymi regimentami jazdy, Czarniecki powoli wycofał się w kierunku lasu. Szwedzi podążyli za nim, ale niespodziewanie natknęli się na ukryty w zasadzce dwutysięczny oddział uzbrojonych chłopów. Douglas, który szedł na czele pogoni, rozpoczął walkę, dołączył się wkrótce także król z resztą wojska. Dopiero po pewnym czasie zorientowano się, że nie są to regularni żołnierze. Karol Gustaw pozostawił Douglasa, by rozgromił oddziały chłopskie, sam zaś zawrócił, chcąc zaatakować główne siły Czarnieckiego, wycofujące się traktem leśnym. Królowi udało się dopaść kilka chorągwi, reszta zdążyła odejść. Karol Gustaw wrócił wtedy do obozu, ale w dalszym ciągu trzymał wojsko w pogotowiu zwłaszcza, że dowiedział się o planowanym ataku Aleksandra Hilarego Połubińskiego, który nie nastąpił tylko wskutek nieporozumienia. Tyle Kersten. Powątpiewa on w prawdziwość zdarzeń opisanych w „Potopie”, które miały mieć miejsce pod Rudnikiem, zwracając uwagę, że może ten opis lepiej odnieść do zdarzeń, zaszłych pod Niskiem. Kersten ma jednak racji to, że Szandorowski uderzył na Szwedów pod Rudnikiem, nie wyklucza możliwości ataku wojsk Czarnieckiego pod Niskiem.



Niżański pomnik walk z okresu potopu szwedzkiego w Raclawicach

Do przeróżnych starć dochodziło w czasie całego odwrotu wojsk szwedzkich. To, że jest wiele szczegółów podobnych w opisie tych potyczek - to nic dziwnego. Była to wojna partyzancka - szarpanina obustronna - niszczenie przeciwnika,

nękanie jego wojska bez wydawania frontalnej bitwy, a jako taka miała swój ustalony szablon, powtarzającą się mimo zmian miejsca taktykę. Zastanawia mnie jeden fakt. Kersten podał tylu pisarzy, opisujących te wydarzenia, a opuścił chyba

celowo relację na ten temat samego Pufendorfa. Oto, co napisał Pufendorf: "In conclavi quodam arcis, Praefectum (Praefecturam?) dictum, ajunt, funiculum incendiarum reliquisse, qui pulverem pyrum incedit. Refert hoc impressa quaedam relatio mentionem quoque faciens fluminis Rudniki in hac ore ubi Suaeciae Regem dura invasione adorti sunt..... id quod Francofurtana Relatio eiusdem anni pagi 17 confirmat, mentionem quocumque faciens arcis Rudnik: inter Jaroslaviam et Sandomirami urbes sitae, apud quam Suaeci haud exigua clade affecti feruntur".

"W pewnym budynku zamku, zwanego Prefekturą twierdzą, że zostawili lont, który zapalił proch. Mówi o tym pewna wyraźna relacja, czyniąca także wzmiankę o rzece Rudnik, na tym brzegu, gdzie Polacy zaczepili króla Szwecji w ciężkim zajeździe..... to co Frankofurtana sprawozdanie tegoż roku, strona 7 potwierdza,

Zamek w Rudniku

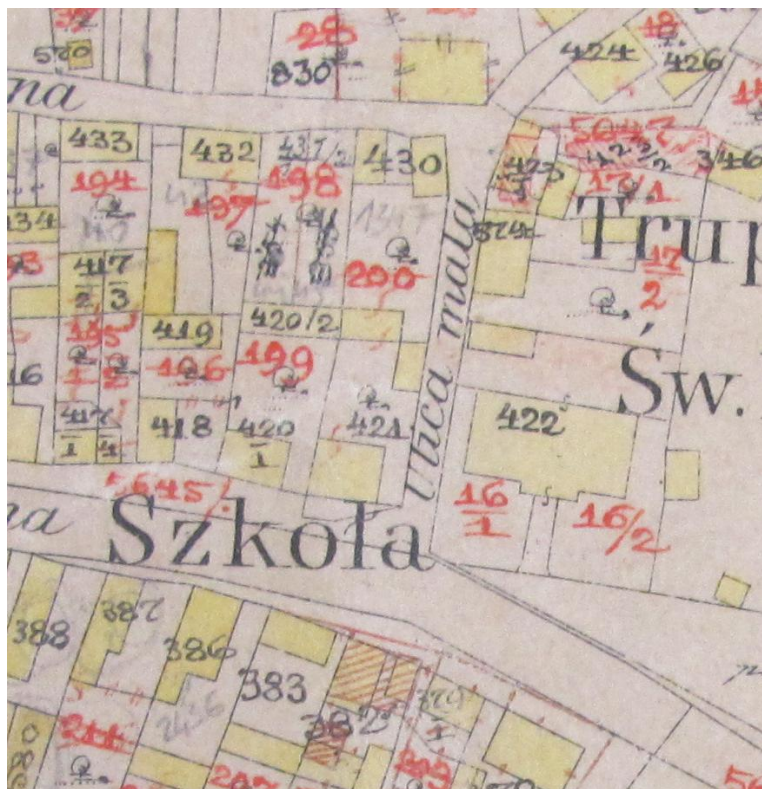
czyniąc także wzmiankę o zamku w Rudniku, położonym między miastami Jarosławiem i Sandomierzem, przy którym - jak podają Szwedzi nie małą ponieśli porażkę." (tłumaczenie ks. Franciszka Nicałka). Tekst jest zupełnie jasny i prosty. Szwedzi doznali znacznej porażki na zamku w Rudniku, który jest na brzegu rzeki Rudnik. Długo medytowałem nad tym tekstem. Z jednej strony nie pisali tego analfabeci, z drugiej zaś skąd w Rudniku zamek? Najstarsi ludzie i miejscowe podania nic o zamku nie mówią. Przypadkiem udało mi się wypożyczyć z Powiatowej Biblioteki Nauczycielskiej w Nisku "Księgę akt wiecznych miasta Rudnik" sprowadzoną specjalnie z Państwowego Archiwum w Przemyślu. W tym wypadku pomogły mi dwie nauczycielki. Jestem im bardzo wdzięczny za to. Niestety nazwisk, ze zrozumiałych względów, podać nie mogę, aby nie były obwinione o współpracę z księdzem. Otóż wertując tę księgę strona po stronie i robiąc obszerne notatki, natknąłem się na str. 277 nr 379 na taką wzmiankę. Cytuję dosłownie: " Z rozkazania Jaśnie Wielmożnych Panów Dziedziców na Rudniku w wsiach JW. Panów Alexandra Załuskiego kasztelana Rawskiego i Dziedziczki było zamczysko przy kościele, ale z rozkazania podczas rewizji przydzielono na place mieszczanom, my tedy wydzieliliśmy plac P. Maximilianowi Ciepło na jego afektację, według placów inszych w stronę Marcina Marka, a drugą pustego. Wolno mu tem placem i budynkiem czynić

cochcić". W r. 1972, Hanna Kostyrko wydała książkę pt.: "Klechdy domowe". W niej jest też mowa o zamku w Rudniku, który Szwedzi zniszczyli, a dziedzica z całą rodziną wymordowali. Ocalała tylko jedna córka. Jest to wprawdzie baśń ludowa, ale na pewno nie wyssana z palca, ale opierająca się na miejscowej tradycji. Mógł Sienkiewicz napisać, że to wszystko działo się na plebanii, gdyż zamek ten był zaledwie około 200 m oddalony od kościoła, który jak z tego wynika był kościołem, a raczej pierwotnie kaplicą zamkową. Dziedzic na pewno nie został zabity wtedy, ale mogli Szwedzi wymordować tych, którzy byli w zamku. Może rzeczywiście odkryty grób w miejscu, gdzie obecnie jest palenisko centralnego ogrzewania kościoła, kryje zwłoki zamordowanego pana zamku i jego rodziny. W grobie tym znajdowały się dwa szkielety osób starszych i trojga dzieci. Wszystkie czaszki były przecięte szablą a jedna tzn. starszego mężczyzny - jak to rozpoznał Zdzisław Chmiel, miała okrągłą dziurę w potylicy od strzału. Samo usytuowanie tego grobu - pod wielkim ołtarzem - starego, spalonego kościoła, przemawia za tym, że wymordowana rodzina nie była z pospólstwa - jak wtedy mówiono. Niestety oprócz kości szkieletów nie pozostało nic więcej, tylko obrys w piasku grubych, masywnych, dębowych trumien. Zapewne pozostałość po krzyżu, który tu postawiono. Później jednak krzyż uległ zniszczeniu, a to miejsce, te groby, znalazły się akurat pod wielkim ołtarzem kościoła spalonego w 1914 r. Sądzę, że dalsze groby, czy też wspólny grób pomordowanych przez Szwedów, znajduje się pod posadzką obecnego kościoła, gdyż przy kopaniu fundamentów nie natrafiono na taki grób. Na cmentarzu zaś przykościelnym na pewno też go nie ma. A więc był w Rudniku zamek. I wypadki z „Potopu” rozegrały się więc nie na plebanii, ale w niedalekim zamku. Świadczenia więc obcokrajowców są zupełnie pewne i dokładne. Sienkiewiczowi na przekór trzeba jeszcze i to powiedzieć. Było to na wiosnę. Rzeka Rudnik jeszcze i dziś przy wiosennych roztopach, pokazuje co potrafi zrobić. Staje się bardzo szeroka i bardzo porywista. W tym miejscu ma bardzo duży spadek. Sforsowanie więc rzeki Rudnik w tym czasie i koło młyna, byłoby nieco za ryzykowne. W dodatku Łązek Plebański nie stanowił żadnej osłony, ani też duża wtedy Góra Młyńska, dzisiaj zupełnie rozkopana. Teodor Szandorowski,

uderzając z tej strony, o której mówi Sienkiewicz, musiały się nadziać na tylne straże szwedzkie, które na pewno były przy samym młynie. Szwedzi szukali pożywienia. Co za gratka po drodze napaść na młyn. W dodatku nie było koło młyna żadnej drogi. Młyn był za miastem i wiodła do niego ulica Sandomierska, która na nim się kończyła. Dalej był las, aż do Kopek. Droga wiodła z Leżajska dawnym traktem, poprzez Sarzynę, Tarnogórę skręcała cała dalej na Kopecki kościół. Biegła obok niego rędzinami przez dzisiejsze Chałupki i dalej do Starego Przewozu tuż nad Sanem. Od Starego Przewozu skręcała na lewo w stronę miasta Rudnika. Biegła za jeziorem. Przecinała klin plebański, pierwotnie lasek plebański, mijała Błonie i ulicą Miejską łączyła się z ulicą Sandomierską. Wszystkie te dane zaczerpnąłem ze wzmiankowanej wyżej "Księgi wieczystej miasta Rudnika". Droga ta była po obydwu stronach osłonięta przez wiklinę nad Sanem, tarninę, lasek plebański, koło Błonia przez olszynę i inne zarośla. Szandorowski ze swoim oddziałem rzucił się w pościg za Szwedami z Leżajska tym właśnie traktem leśnym, wychodzącym w Kopkach "koło Fronca". Dziś jest tam gajówka i jak starzy ludzie jeszcze pamiętają, tamtędy prowadził "stary trakt" do Leżajska. Szandorowski miał w Kopkach wymienić swoje znużone pościgiem konie. Tutaj jednak okazało się, że koni do zmiany nie ma. Zarekwirowali i je bowiem wcześniej Szwedzi, a inne zostały uprowadzone przez chłopów do lasu. Tak mówi kronika kopecka ks. Reichla. Na zmordowanych więc koniach jedzie Szandorowski dalej starym traktem do Rudnika. Korzysta z osłony drzew i zarośli. Skręca za jeziorem i przez błonie dostaje się na ulicę Wałową, uderzając na wspomniany zamek, gdzie był właśnie król. Wszystko przemawia raczej za tym, że króla na plebanii w ogóle nie było. Obecny ks. proboszcz ks. Władysław Sielnicki był w Zaklikowie wtedy, a nie wiadomo, czy miał wikarego. Gdyby nawet i był, wątpię czy chciałoby mu się w tej zawierusze gotować obiad i przyjmować króla. Sienkiewicz pofantazjował trochę cum licentia poetica, ale wynika i z tego, że były wokół plebanii pasieki i inne zabudowania gospodarcze. Tak jednak nie było. Jak wyraźnie mówi wizytacja kanoniczna, ks. proboszcz miał tylko samą plebanię, dosyć przestronną, ale tylko dla siebie. Nie było domu dla służby księżowskiej. Nie było żadnych stajen, stodół, spichlerzy, pasieki, czy

jakichkolwiek budynków gospodarczych. Wytyka to wyraźnie sam lustrator. Do bezpośredniego starcia doszło na majdanie zamkowym.

Ponownie zamek w Rudniku

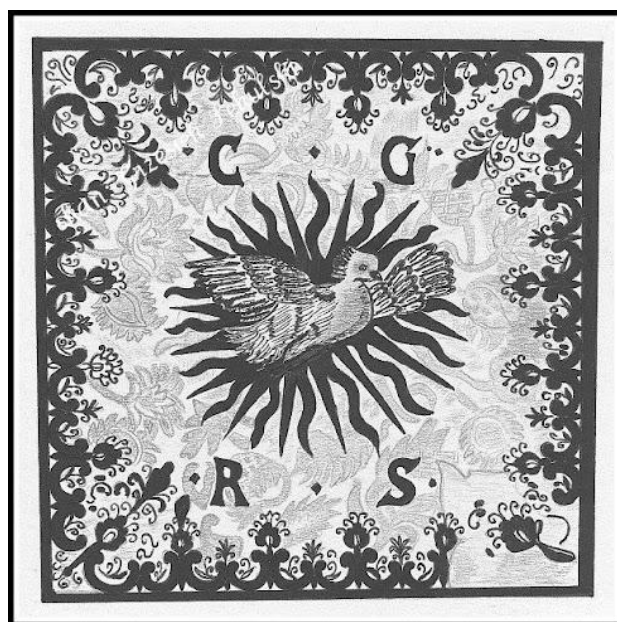


Zamek ten był na obecnej parceli P. Niemczykowej. Kopiąc fundamenty pod kamienicę, którą wystawiła właśnie P. Niemczykowa, natrafiono na jakieś tunele, podziemne piwnice, które przekopano tylko na tyle, ile wymagały fundamenty pod kamienicę. Reszta jest dalej w ziemi. P. Niemczykowa słusznie obawiała się rozgłosu, aby nie ściągnąć

Czy w tym rejonie faktycznie znajdował się kiedyś zamek?

archeologów, którzy na pewno wstrzymali by jej robotę. Mówiła mi też sama, że już wcześniej spotykano tu wiele cegieł, starodawnych, nie dzisiejszych, które składała na kupę, aż ktoś to od niej zabrał furmanką na ul. Rzeszowską i użył te cegły do budowy.

Bitwa więc rozgorzała na zamku i w miejscach do niego przyległych tj. na ulicy Wałowej, koło kościoła i starej plebanii. Trzeba bowiem pamiętać, że ulica Wałowa dochodziła do samej plebanii i na niej się kończyła. Walczono też chyba wokół kościoła, na cmentarzu



Sztandar szwedzki

przykościelnym. Padło zapewne wielu tak ze strony Szwedów, jak i naszych.

Dokładnej jednak liczby nie można podać, gdyż nie ma do tego żadnych przekazów historycznych. W bitwie tej zdobyto sztandar króla szwedzkiego. Sztandar ten przechodził różne koleje losu. Był w posiadaniu rodziny Branickich, potem Tarnowskich. Wreszcie został sprezentowany przez hr. Tarnowskiego z Krakowa w Londynie ambasadorowi Polski Ludowej, Mielnikowi i przewieziony do kraju. Król widząc niekorzystny obrót rzeczy, uciekł z placu boju. Sienkiewicz pisze, że Szwedzi uciekali z Rudnika Kończycką drogą, na lasy, jak tu mówią. Jest to jednak kiepski pomysł pisarza. Takiej drogi wtedy wcale nie było. Zważywszy w dodatku, że lasy wtedy były olbrzymie, bo ciągnęły się aż do Stanów, że teren był podmokły, a wtedy 27 marca były roztopy i jak pisze Kubala, szwedzkie tabory grzęzły po osie w błocie i utrudniały pochód, w lasach zaś ukryte były partyzanckie oddziały uzbrojonych chłopów - koło Niska było ich około 2000 - trzeba i musi się odrzucić taką marszrutę ucieczki króla i rozbitych Szwedów, jako wręcz absurdalną i niemożliwą. Nawet i radio z Rzeszowa nadało rano o godz. 7 dwa lata temu w jesieni audycję na temat wsi Nowosielec, dawniej Piorunka. Redaktor Błaszczak bardzo elokwentnie udowadniał w niej, że Szwedzi uciekali na lasy przez Pogoń i stąd wywodzi tę nazwę. Plótł jednak bajeczki. Nazwa „Pogoń” była już 150 lat wcześniej znaną i używaną. Oznaczała jezioro obok Jeżowego. Dokument erekcji parafii w Jeżowie mówi, że nowo utworzone beneficjum parafialne tzn. pola rozciągają się od jeziora Skrzyńki, aż do jeziora Pogoń. Gdzie więc Krym, a gdzie Rzym. Może być nawet starsza i nawiązywać do obowiązków tzw. pogoni.

W królewszczyznach były po lasach i przy drogach drobne osady królewskich chłopów, zobowiązane do ścigania i niszczenia rozbitych oddziałów wroga w czasie wojny, śledzenia ruchów nieprzyjaciela, chwytania jeńców dla zasięgnięcia języka, wylapywania szpiegów - wędrownych dziadów, domokrażców, przebranych kupców itp. I to był właśnie obowiązek pogoni. Król szwedzki i jego ocalałe oddziały zaszokowane taką niespodzianką w Rudniku,

uciekały nie przez leśne wertepy i niebezpieczne bory, ale drogą możliwie najwygodniejszą i stosunkowo najbezpieczniejszą, aby jak najszybciej odbić się od oddziałów polskich. Taką jedyną drogą ucieczki była droga przez Stróżę i wieś Przędzel do Niska, jako droga otwarta, przez pola i z dala od lasów, gdzie mogli być zaczatowani chłopci. Jak wynika z dalszych opisów historycznych, Szwedzi z królem zatrzymali się pod Niskiem w miejscu, z dwóch stron oblanych wodą, ochronnym i zabezpieczającym przed nagłym atakiem Polaków. Długo czasu rozważałem, gdzie było miejsce tego postoju. Może na Borowinie i na Warchołach. Ale tych wsi wtedy nie było. Druga możliwość, to postój za Raclawicami od strony Sanu, tu gdzie dzisiaj jest tzw. Waldekówka, czyli dom po hr. Waldecku. Jest to rzeczywiście miejsce z jednej strony przytykające do samego starego Sanu, z drugiej oblane jeziorem i mokradłami, które przetrwały aż do dzisiejszego dnia. Oczywiście w zmniejszonych o wiele rozmiarach. I tu właśnie za Raclawicami doszło znowu do starcia. Opis tego wydarzenia podałem zaraz na wstępie, czerpiąc go z Kerstena. Tu należy dodać jeszcze jedną ciekawostkę. Tamtego roku tj. 1975-go zbudowano nowy odcinek drogi, która omijała Nisko, skręcając na Warchoły i łącząc w ten sposób autostradę z Janowa Lubelskiego z Rzeszowem. W trakcie niwelowania gruntu i ostatecznego uporządkowania tego miejsca, musiano przesunąć o kilka metrów na północ starą, przydrożną kapliczkę. Rzeczywiście przesunięto ją, a teren gdzie przed tym stała zniwelowano. W czasie tych prac porządkowych odkryto na miejscu, gdzie stała ta kapliczka zbiorową mogiłę, wiele skór, broń i inne przedmioty z czasów szwedzkich. Opowiedział mi o tym P. Alojzy Madej, który też jest entuzjastą przeszłości i który obecnie mieszka w Nisku. Przybył i on na miejsce tych znalezisk, niestety było już po wszystkim. Część rozdrapali robotnicy, resztę znalezisk: broń, szable, zabrano do Muzeum Ziemi Rzeszowskiej. Tak więc ziemia potwierdziła prawdziwość i autentyczność opisu starcia Polaków i Szwedów pod Raclawicami. Na miejscu walki, pod Waldekówką, wystawiono w minionych wiekach prostą, ubogą kapliczkę, na pamiątkę tego wydarzenia. Po tej niemiłej przygodzie król szwedzki z wojskiem wycofał się do Pława, gdzie w nocy ostatnie oddziały polskie współpracujące ze Szwedami, zbuntowały się i ze swoim dowództwem przeszły na

stronę Czarnieckiego. W tym samym czasie po drugiej stronie Sanu tzn. po prawej, doszło też do poważnych potyczek ze Szwedami. Podczas wykopów pod fundamenty ogrodzenia kościoła w Pysznicy robotnicy odkopali sklepienie wspólnego grobu, murowanego ze starych cegieł. Sklepienie to zapadło się pod nogami robotników. Po jego odgruzowaniu i oczyszczeniu ukazało się wnętrze grobowca: stos szkieletów - przeszło 30, dziś już dokładnie nie pamiętam - ułożonych równo jak snopki na sobie, głowami na północ. Kości były dobrze zachowane. Nosiły wyraźne ślady zadanych cięć, a niektóre czaszki były rozłupane. Z boku znalazłem rozbitą starodawną flaszkę, brak korka, w środku tylko proch i strzępy po jakimś chyba dokumencie, kilka szklanych paciorków z różańca i mały żelazny krzyż. Dałem go chłopom, a ci go połamali, bo badali po swojemu, czy to jest lane żelazo, czy inne. Grób ten został przysypany, bo zrobiło się zbiegowisko gapiów z całej wsi "bo coś znaleźli wedle kościoła". Aby władze nie przerwały roboty przy oparkaniu kościoła, grobowiec czym prędzej zasypano. Jest on tuż przy dzisiejszym wejściu na cmentarz przykościelny, od strony południowej. Kilka metrów od niego na zachód rośnie karłowaty tzw. "dąb wolności". Posadzony został w r. 1918 po odzyskaniu przez Polskę wolności. Jak na złość, nie chce ten dąb rósć i całkiem - jak na swoje lata - marnie wygląda. Nie zapomnę, jak jeden stary i mądry obywatel pysznicki - Sokołowski z Ziarn powiedział do mnie, gdy byłem wikarym w Pysznicy: "Jii jegomościu taki ten dąb, jak i ta nasza niepodległość - obydwójce jednakie". W Pysznicy na cmentarzu przykościelnym, a także w Rudniku, znajdowano pieniądze szwedzkie, dawane nieboszczykom po śmierci,. Pochodziły one z czasów Karola Gustawa i królowej Krystyny. Razem z kościelnym śp. Janem Ziarnowskim, znaleźliśmy ich ponad 50 sztuk. Kościół w Pysznicy stoi na górze. Wiatry wydmuchiwały piasek - nie było żadnego parkanu, obniżały teren. W dodatku niwelowano cały ten teren tak, że odsłonięto wiele szkieletów, przy których były też pieniądze. Również i w samej wsi dzieci często znajdowały szwedzkie, drobne pieniądze i przynosiły do szkoły. Duża potyczka ze Szwedami musiała mieć miejsce w sąsiedniej wsi Jastkowice. Gdy kopano fundamenty pod obecny kościół, wykopano też zbiorowy grobowiec. Ówczesny ks. proboszcz

i dziekan pysznicki ks. Tomasz Grodecki, odniósł się z tym do Kurii Biskupiej w Przemyślu. Odpowiedziano mu po porozumieniu się z Kurią Biskupią w Sandomierzu, że chodzi tu o zbiorową mogiłę z czasów „potopu.” Na jakiej podstawie tak powiedziano, nie wiem. Na pewno Sandomierz miał pewne dane ku temu, może wyszukali to w jakichś aktach wizytacyjnych z owych lat. W każdym razie sam ks. Grodecki był człowiekiem uczonym - przez długie lata był profesorem w Seminarium Duchownym w Przemyślu i sam o tym pisał. Odnośne zapiski są do dziś w archiwum parafii Pysznicza i sam je widziałem i czytałem. Kości z tej zbiorowej mogiły kazała Kuria Biskupia w Przemyślu przewieść do Pysznicy i pochować na miejscowym cmentarzu - co też się i stało. Poniżej kościoła w Jastkowicach, na łące, są do dziś jakby kopce usypane. Ludność miejscowa mówi, że są to groby Szwedów. Sąsiednia wieś Szwedzy ma być założona i osadzona przez wziętych do niewoli Szwedów. Tego roku tj. 1955, był tam na miejscu antropolog szwedzki. Po przebadaniu tej wsi ustalił z całą pewnością, że tak musiało być. Był rozanielony po powrocie z tej wsi i opowiadał mi - oczywiście po szwedzku, a tłumaczyła jego żona Polka - to ta wieś przypomina mi całkiem kraj rodzinny. Nie mógł się nacieszyć, że jedna staruszka, której zrobił zdjęcie, z dumą powiedziała, że ona pochodzi od jeńców szwedzkich. Twierdzili, że ludzie we wsi Szwedzy, rzeczywiście pochodzą od Szwedów, że mają wiele charakterystycznych cech narodowych szwedzkich. Ale zostawmy Szwedzy na boku, a wracajmy do Rudnika. Jak już wspominałem w bitwie na zamku w Rudniku było sporo trupa. Gdzie pochowano te ofiary? Przeszukałem kilkanaście lat cały cmentarz przykościelny, ale bez żadnego rezultatu. Wiem, że Polaków, jako katolików pochowano osobno na miejscowym cmentarzu, ale gdzie? Zostało tylko jedno miejsce dla nich: pod kościołem i gdyby tak było, to będą leżeć spokojnie, aż do sądu ostatecznego.

Gdzie pochowano Szwedów?

Co jednak zrobiono ze Szwedami? Gdzie ich jako lutrów pochowano? Przypuszczalnie gdzieś w kącie cmentarza. Nigdzie jednak nie trafiłem na najmniejszy bodaj ślad. Specjalnie kazałem wykarczować wszystkie stare pniaki po zerżniętych drzewach, nic to nie dało. Pozostało tylko jedno - miejscowa tradycja.

Mówi ona, że w miejscu, gdzie dziś stoi nowa dzwonnica, nieopodal wejścia z ulicy na plac kościelny rósł kiedyś tzn. przed I wojną światową – duży, potężny dąb. Jego rozłożyste konary przeszkadzały w procesji dookoła kościoła - zawadzały o nie chorągwie. Ks. Feliks Sękiewicz – rudnicki kanonik i proboszcz - kazał te gałęzie obciąć. Niedługo potem ścięto całego dęba. Jak miejscowa fama głosi, zrzynali go sami notable miasta: Sekulski, Romański, Ruchaj i inni znakomitsi, bez pospolitaków. W końcu i pniak zawadzał. Wykarczowano go. Właśnie wtedy odkryto pod nim cały stos szkieletów – „masę kości” - jak mówią. Była to zbiorowa mogiła. Przypuszczano - nie wiem na jakiej podstawie - że są to pomordowani Szwedzi. Ponieważ byli lutereckiego wyznania i ksiądz zarządził, aby ich pogrzebać poza obrębem cmentarza przykościelnego, na jego północnej granicy, nad rzeką. W czasie wielkiej powodzi, przed I wojną światową, oberwał się brzeg i wszystkie te kości popłynęły z wodą. „Wróciły Szwedzi do swojego kraju” - śmiali się rudniczanie. Jest to powtarzana miejscowa tradycja. Wszystko cacy, cacy, ja jednak zaliczyłbym ją do sabałowych bajań. Przede wszystkim dlaczego Szwedzi mieli być pochowani na najbardziej honorowym miejscu koło kościoła, przy samym wejściu? Czy dla celów propagandowych? Taka głupota nie była wtedy modna. Przyjmując za fakt rozwścieczenie się rudniczan na Szwedów - zupełnie zresztą zrozumiałe - musieli ich pogrzebać, gdzieś w kącie cmentarza, a nie na przedzie kościoła. Powtarzam jeszcze raz, południowa i wschodnia strona cmentarza były zarezerwowane dla ludzi zasłużonych. Wyraźnie jest to o tym wzmianka w starych metrykach. Pospolitaków chowano na pozostałej części cmentarza. Samobójców nad samą rzeką, na zboczu. Skąd w poczciwym ks. Sękiewiczzu tyle nienawiści do wroga pokonanego, że kazał kości wykopać i w innym miejscu ich pochować? Czy nie lepiej już było zostawić wszystko, jak było? Przysypać piaskiem i koniec. Czy chciał się zemścić i udowodnić, że jego któryś tam poprzednik nie znał Prawa Kanonicznego i pochował lutrów na poświęconym miejscu? Wątpię w to bardzo. Dlaczego nie pochowano Szwedów na cmentarzu parafialnym, który już był od pierwszego rozbioru Polski tak, jak to zrobiono w Jastkowicach? To, że w czasie powodzi oberwał się brzeg i płynęły trupy to fakt, bo cmentarz był duży i sięgał do rzeki. Przekonałem się o tym sam, kopiąc te miejsca nad rzeką z obecnym ks.

Janem Gancarzem, a ówczasie klerykiem. Na całym poboczu spotykaliśmy szkielety tam, gdzie nie była ziemia przekopana i bebeszona przez Niemców, którzy mieli tu swoje bunkry. Wcześniej przekopali ziemię Austriacy w czasie I wojny światowej. Mieli tu swoje tzw. "dekunki". Moim zdaniem wspólny grób, kryjący szczątki zabitych Szwedów, znajduje się bliżej starego zamczyska. Dziś jest to podwórze szkolne Szkoły Specjalnej. Dawniej w czasie „potopu”, należał ten plac do kościoła rudnickiego i tam też sądzę trzeba by kopać, co ze zrozumiałych względów jest dziś rzeczą niemożliwą. W czasie potyczki wzięto zapewne i jeńców szwedzkich do niewoli. Świadczą o tym nazwiska tutejsze: Szwed. Pamiątką po Szwedach są też liczne monety, które znajduje się na tym terenie. Przeważnie pochodzą one z czasów króla Gustawa Adolfa, Krystyny, Karola Gustawa. Kilka monet znalazłem również z Livonii i z Prus. Chytry rudniczanie kładli je na oczy nieboszczyka, aby kogoś "nie wypatrzył i nie zabrał za sobą". Zamiast dać monetę obiegową, polską, kładli nieużywane monety stare, które wtedy nie przedstawiały żadnej wartości. Dobrze jednak, że tak robiono. Monety pozwalają ustalić z jakiego mniej więcej czasu szkielet pochodzi. Podczas kopania fundamentów pod obecny kościół w r. 1927 wykopano i znaleziono w ziemi sporo monet polskich. Nie brakło między nimi i szwedzkich. Opowiedział mi o tym ks. katecheta Waclawski, naoczny świadek tego. Jako pamiątkę po Szwedach, pokazywano dąb, który rósł koło obecnego Liceum Ogólnokształcącego. Rzekomo pod nim miał odpoczywać król szwedzki. Dąb ten w kilka lat po ostatniej wojnie został ścięty i sprzedany, jako drzewo na opał, na rozkaz burmistrza Trykały, tego samego, co przez swoich naganiaczy, utopił w stawie popiersie hr. Ferdynanda Hompescha. Uczynił to dlatego, bo hrabia był Niemcem. Popiersie to wyłowione ze stawu ma u siebie Zdzisław Chmiel. Dąb ten jednak, mimo, że był stary i okazały, nie mógł pamiętać czasów szwedzkich. Oglądałem go przed i po ścięciu go. Rósł w dobrej ziemi. Miał piękne bardzo duże słoje, świadczące o jego rocznych przyrostach, ale mógł mieć tylko 250 lat. Gdyby nawet miał i 300 lat, to nigdy by król szwedzki pod takim "krzaczkiem" nie odpoczywał. Nie brakowało wtedy potężnych drzew. A zresztą cóżby tam król robił? Nie było tam żadnej drogi, ani nijakiego dostępu. Król 27-go marca

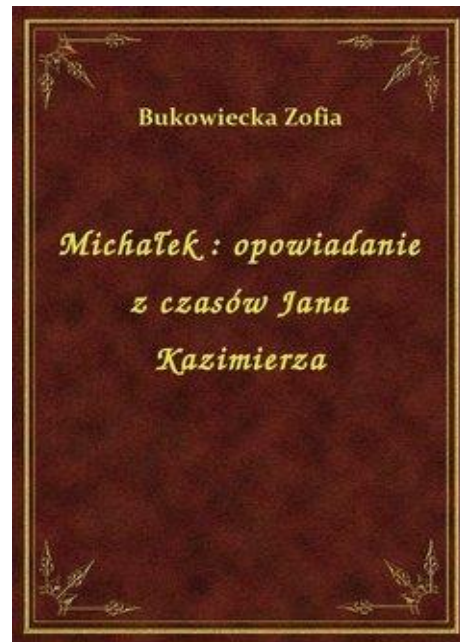
rekolekcji nie odprawiał, bo nie miał, jako luteranin żadnej ku temu ochoty i było by to nie w jego guście. Ot, taka sama legenda miejscowa. Stąd przestroga, jak ostrożnym trzeba być, jeśli chodzi o miejscowe legendy. Z drzew, które pamiętają wypadki z „Potopu”, to jedynie i to jeden dąb w Tarnogórskim lesie. Stoi on zaraz przy szosie, po prawej ręce, gdy jedzie się z Rudnika do Leżajska, po drugiej stronie jest gajówka „na ćwierciach” obywatela Kozuba. Rośnie on na starych i wszystkim dobrze znanych grzybowiskach. Mają tam robić teraz jakiś motel i klub odpoczynkowy dla przejeżdżających turystów. Może i jego zlikwidują? Wszystko możliwe, bo co dla uczonych projektodawców, jakiś tam stary pniak. Nawet tabliczki nie umieszczono na tym dębie informując, że jest to zabytek. Nie takie rzeczy się robi... . Z tych czasów pochodzi też "skarb" wykopany przed mostem na rzece Stróża, po lewej ręce idąc z Rudnika do Stróży. Karczowano tam sosnę i pod nią wykopano metalową rurkę a w niej około 60 sztuk solidusów - szelągów Jana Kazimierza. Rulon tych pieniędzy by owinięty w jakąś skórę, z której pozostały tylko strzępy. Od razu rozniosło się, że wykopano skarb. Byli z Muzeum Rzeszowskiego. Dzieci szkolne potrafiły jednak zorganizować dla mnie 6 sztuk tych monet. Wszystkie były jednakowe - prawdziwe solidusy, a nie boratynki. Nie był więc to żaden skarb. Ot, jakiś biedak ze strachu przed Szwedami, zakopał w ziemi to swoje bogactwo i na pewno, gdy minął strach nie mógł odnaleźć tego miejsca. Trudno bowiem zaraz przypuszczać, że właśnie on został przez Szwedów zabity. Co innego mnie w tym wypadku zaciekało. Otóż ta sosna rosła w głębokim dole, a jej główny korzeń sięgał daleko w głąb i właśnie przy końcu tego korzenia był zakopany ten skarb. Licząc od dzisiejszego poziomo ponad 5m głęboko. Oczywiście nikt takiego dołu nie kopał specjalnie po to, aby ukryć kilkadziesiąt groszy. Wiatry usypały wydmy piaskową, zmieniając zupełnie konfigurację terenu. Nawet i ziemia więc zmienia swój wygląd zewnętrzny. Podobnie może być i z innymi znaleziskami. Mogą leżeć głęboko ukryte w ziemi. Pozostaje jeszcze

rudnicki Michałek.

Przed ostatnią wojną zajmowała się tą sprawą pewna pani profesor, która tutaj na miejscu szukała miejscowych tradycji odnośnie tegoż Michałka. Wydała potem

książeczkę – o ile się nie mylę - pod tytułem „Michałek”. Pisze w niej, że Michałek był synem żołnierza wybrańca, który walczył pod Batorym z Moskalami. Powrócił do kraju i wnet zmarł. Pozostała po bis tylko szabla.

Ponieważ i matka Michałka już nie żyła, on, jako sierota wychowywał się u swojego ojca chrzestnego, miejscowego kościelnego. Kościelny opowiadał mu o ojcu, wczepiał w duszę sieroty miłość do Ojczyzny. W chwili „potopu” Michałek był już nastolatkiem, wesoło ujeżdżającym plebańskie konie na miejscowym majdanie. On to miał dać znać Szandorowskiemu, że do Rudnika maszerują Szwedzi. On też miał przeprowadzić oddział polski przez leśne wertepy i na skróty sprowadzić je do Rudnika. Dalsze przygody jego znamy z „Potopu”. Czy postać Michałka jest autentyczna, czy nie jest



tworem fantazji samego autora? Moim zdaniem, mógł któryś ze służby plebańskiej dać znać rotmistrzowi Szandorowskiemu, że Szwedzi idą do Rudnika. Mógł następnie przeprowadzić oddział przez las duktami leśnymi. Czy jednak miał na imię Michałek? Wydaje mi się, że jest to już twór Sienkiewicza. Coś za dużo tych Michałków. W Leżajsku miała objawić się Matka Boża w miejscu, gdzie później wystawiono klasztor OO. Bernardynów. Objawiła się też Michałkowi, który rzekomo miał pochodzić ze wsi Giedlarowa. Nazywał się Michałek, a może nawet Nicałek, bo i to przy ówczesnym zapisywaniu nazwisk przy chrzcie było bardzo możliwe. Później z Nicałka zrobiono Michałka - tak jak to czynią z moim nazwiskiem i dziś, a potem Michałek. Z nazwiska pozostało tylko imię. Jest to już moja fantazja, ale nie pozbawiona całkowitej możliwości, że nawet i tak mogło być. W dodatku i w Wielkopolsce dowódcą partyzantki polskiej był też Michałek. Sądzę, że tych Michałków było za wiele i to w jednym czasie. Sienkiewicz widocznie w tym chłopcu przedstawił tę wielką miłość do swojej Ojczyzny, to umiłowanie wolności. Chciał w jego postaci przedstawić ten niezwykły patriotyzm prostych chłopów polskich, którzy wtedy tak licznie i chętnie poszli za

odruchem serca i znaleźli się w szeregach partyzantów. W tej okolicy było bardzo dużo chłopów, którzy zginęli w walce ze Szwedami. Niestety imion ich i nazwisk nigdy się nie dowiemy, bo nie zapisała ich historia. Musieli też mieć swoich przywódców, o żadnym jednak nic nie wiemy. Nie byli to możni tego świata, których czyny opiewać by się godziło w bohaterskich pieśniach. Ot, zwyczaj Michałki, które jako poddani królewscy (bo wszędzie tutaj były dobra koronne) wiernie spełniły swój obowiązek, i nic poza tym. Tylko jeden Michałek, ten z Rudnika, został "godnie" uwieczniony. Gdy zbudowano nową reprezentacyjną knajpę w Rudniku, ochrzczono ją „Pod Michałkiem”. Stało się to za wiedzą, a powiedziałbym za inspiracją samego dyrektora tutejszego Liceum Ogólnokształcącego Jana Syrowatki, pochodzenia czeskiego. W ten sposób został uczczony za swój patriotyzm i poświęcenie pocziwy Michałek. Pamięć o tobie nigdy nie zaginie.

Na zakończenie podaję jeszcze jeden szczegół: wśród starych książek na strychu plebanii znalazłem bardzo dobrze zachowaną książkę w języku francuskim. Był to jakiś traktat, rozprawa o Najświętszym Sakramencie, wydana w Paryżu, około r. 1550. Dokładnej daty nie pamiętam. Książkę tę wraz z innymi, odwiozłem do Archiwum Diecezjalnego w Przemyślu i oddałem ją ks. prałatowi Julianowi Atamanowi, byłemu mojemu profesorowi. Ocenił ją, jako biały kruk, bardzo cenną rzecz. Otóż na pierwszej stronie tej księgi ktoś napisał pięknym kaligraficznym pismem, że tę księgę odbił na Turkach, z ich rąk, rotmistrz Szandorowski. Skąd się ona wzięła w Rudniku? Może podarował ją ks. Władysławowi Sielickiemu, ówczesnemu proboszczowi rudnickiemu i zaklikowskiemu - sam Szandorowski? Jest to piękna pamiątka po rotmistrzu Szandorowskim.

* Ks. Franciszek Nicałek urodził się 9 marca 1920 r. w Nisku. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości w Gimnazjum w Nisku w 1938 r., wstąpił do Seminarium Duchownego w Przemyślu. Święcenia kapłańskie przyjął w Starej Wsi dnia 24 października 1943 r. Od 1 kwietnia 1944 r. do 26 sierpnia 1948 r. był wikariuszem w Pysznicy, następnie został skierowany do Rudnika. Z powodu choroby przestał katechizować w szkołach podstawowych i średnich w 1971 r. i otrzymał urlop zdrowotny. Przebywał do końca w Rudniku, gdzie zmarł dnia 19 października 1977 r. Uroczystościom pogrzebowym, które odbyły się w Rudniku, przewodniczył ks. bp Tadeusz Błazkiewicz.

